

Mnóstwo rzeczy mnie wkurza

Myślę, że wszystkie moje spektakle, niezależnie od tego, jak bardzo się od siebie różnią, są opowieścią nie o herosach, ale o zwykłych ludziach, którzy mają żonę lub męża, dzieci i którzy są zagubieni, którym towarzyszy lęk, niewiedza, przerażenie bałaganem świata i którzy mimo wszystko próbują wydobyć się z chaosu - mówi reżyser Piotr Cieplak w rozmowie z Katarzyną Janowską z Polityki.

«Katarzyna Janowska: - Wystawił pan w Teatrze Powszechnym w Warszawie " Albośmy to jacy tacy" według "Wesela" Wyspiańskiego, ale pierwszą część spektaklu ulepił pan z gazetowych tekstów, z jazgotu polityków, ale i z pięknej litanii o Dolinie Rospudy czy wierszy Czesława Miłosza i Marcina Świetlickiego. Sprawy zaszły tak daleko, że reżyser, który w swoich spektaklach pyta o Boga, o miejsce dobra i zła w świecie, musi zająć się polityką? Piotr Cieplak: - Od zawsze byłem przekonany, że nie będę się zajmował w teatrze polityką. Uważałem, że teatr jest od tropienia rzeczy niewidzialnych. Dalej tak uważam, ale rzeczywistość sama do mnie przysłała. W lutym pojechałem do Rospudy. Gdyby nie paru dzielnych ludzi w Trybunale Konstytucyjnym, miałbym dziesięcioletni zakaz wykonywania zawodu nauczyciela tylko dlatego, że nie zamierzałem podpisywać oświadczenia lustracyjnego. Czuję się osobiście obrażony, kiedy Jacka Kuronia wyzywa się od zdrajców. Nie mogłem przejść obok tych spraw obojętnie. Ale mam też nadzieję, że nie zrobiłem przedstawienia politycznego, czyli prawicowego albo lewicowego. Mój spektakl nie daje recept. Składa się z paradoksów, z elementów, które wzajemnie sobie zaprzeczają. Wyłania się z tego świat niespójny, świat różnych języków, które się ze sobą w żaden sposób nie komunikują. Mnóstwo rzeczy wkurza mnie w Polsce, ale jeszcze bardziej mnie wkurza to, że się wkurzam. Bo co z tego, że zrobię spektakl, że udzielię wywiadu do Polityki, że przeczytają go ludzie, którzy chodzą do teatru, skoro milcząca większość naszych rodaków, która nie pojawia się przy urnie wyborczej, płynie swoim nurtem.

Myśli pan o tym, kto będzie oglądał pański spektakl?

- Oczywiście, że tak, bo wydaje mi się, że żyję normalnie. Jestem mieszczaninem, mam dwoje dzieci, żonę, samochód, psa, jeżdżę na wczas, segreguję śmieci. Nie zwariowałem, choć pewnie każdemu wariatowi tak się wydaje. Przychodzę do teatru z przekonaniem, że moje poglądy podzielają także inni ludzie. Uważam na przykład, że powinniśmy się dziś odwoływać do oświeconego sarmatyzmu. Oczywiście, wypowiadając takie stwierdzenia, trzeba się długo tłumaczyć, i to obu stronom. Jedna strona to ci, którzy podkreślają, że dziś jest już inny świat, że nie można oglądać się w przeszłość. Mówią: w tym kraju zawsze, w tym kraju nigdy. Bardzo mi nie odpowiada takie myślenie. Ale z drugiej strony mamy Polskę agresywną, rządzącą, skuteczną socjotechnicznie, wrogą mi tak samo albo jeszcze bardziej. Jest ojciec Rydzyk, któremu nikt z rządzących ani z hierarchów nie ma odwagi powiedzieć, ile szkód czyni Polsce, i chrześcijaństwu.

Sierpień obfituje w rocznice ważne dla polskiej tożsamości: Powstanie Warszawskie, święto maryjne. Solidarność. Z czego, zdaniem reżysera "Wesela", jest ona dziś ulepiona?

- Z paradoksów. Wpływ ma na nią i siostra Chmielewska, i Jerzy Owsiak, i ks. Tadeusz Rydzyk, i Andrzej Lepper, ale także Jan Nowak-Jeziorański. Te wszystkie twarze mówią jakąś prawdę o Polsce.

Ale musi być jakiś wspólny mianownik?

- Na szczęście w życiu każdego z nas zdarzają się chwile tak głębokich i pięknych wzruszeń, że one wystarczają, byśmy pamiętali, kim jesteśmy. Dla mnie największym ostatnim przeżyciem było czuwanie po śmierci papieża. Dziś opowiada się dyrdymały, że to był przymus emocjonalny. Ale ja przyszedłem na plac Zwycięstwa i stałem obok ekipy harleyowców przez nikogo nie-przymuszany, podobnie zresztą jak 15 czy 20 tys. ludzi, którzy przyszli tam w kwietniowe popołudnie. To było jasne, piękne święto. Takich chwil szukam też wśród prywatnych spotkań. Pojechałem kiedyś na rowerze do Sarajewa i tam natknąłem się na trzech żołnierzy: dwóch Szwedowi Polaka, kapitana Małachowskiego, który przy okazji był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałem. Prowadził badania, w jaki sposób po uderzeniu bomb rozpadają się domy. Robił zdjęcia ruin w Sarajewie. Poczułem wówczas dumę z polskiego żołnierza. O momentach hańby, rozgoryczenia, wstydu nie chcę mówić, bo odczuwamy je na co dzień, oglądając wiadomości lub czytając gazety.

Ale przy tym rozbiciu tożsamości na indywidualne doświadczenia i przeżycia musi być coś, co spaja, tworzy wartość nadrzędną. Taki utwór jak "Wesele" chyba można zaliczyć do wspólnego kodu, który rozumieją nawet ci, którzy dramatu nie czytali.

- I tak, i nie. Tekst "Wesela" utknął we własnej formie, w potocznym, szkolnym odczytaniu. Wszyscy wiemy, jak to się skończy, westchniemy, że straciliśmy złoty róg, że zawsze tak było i że nic się nie da zrobić. Taki kod usypia, niczego nie wnosi.

Panu udało się z tym zerwać. Druga część pana spektaklu "Albośmy to jacy tacy" to III akt "Wesela". Aktorzy siedzą i po prostu mówią tekst Wyspiańskiego. W epilogu słyszymy, jak potoczyło się życie pierwowzorów bohaterów. Zwykli ludzie pod wpływem wydarzeń historycznych zaangażowali się w działalność patriotyczną, w pomoc innym.

- Wydawało mi się, że najpierw trzeba ten dramat wyrzucić do kosza. I zadać sobie pytanie, gdzie jest dzisiaj Żyd, jaka jest rola poety, jak dziś przebiegają podziały polityczne, czy Andrzej Lepper w todze doktora honoris causa to cham czy pan? Jedni z tych bohaterów żyli heroicznie, inni byli działaczami, jeszcze inni poświęcali się dla sprawy. Oczywiście, druga część mojego spektaklu, wyciszona, kameralna, nie mogłaby istnieć bez pierwszej. Jest ona hołdem dla autora, dla myśli, którą sformułował. Losy bohaterów przywołane w epilogu przerzucają nas we współczesność. Czujemy, iż jest to opowieść o nas samych. Ostatni z bohaterów zmarł w 1979 r. Rok później powstała Solidarność. Dopatruję się w tym odrobinę jaśniejszego tonu. My, którzy to oglądamy, którzy czytamy gazety, nie jesteśmy tłumem pogrążonym w chocholim tańcu. Każdy z nas może coś pożytecznego zrobić.

Czyli naród to nie zbiegowisko, tylko zbiór jednostek?

Obywateli. Wspominałem, że teatr tropi rzeczy niewidzialne. W "Weselu" też nie chciałem zrezygnować z tego postulatu, dlatego w zakończeniu Leszek Możdżer gra utwór "Chrystus vincit", co ma oznaczać, że ostateczne rozstrzygnięcie do nas nie należy. To, co możemy zrobić, to przychodzić punktualnie do pracy, rozmawiać z drugim człowiekiem, zachowywać dystans, o ile się da, mieć poczucie humoru, wyzwalać się z kompleksów, czuć się Europejczykami i kultywować pamięć o swoich umarłych.

Uff, wygłosił pan jednym tchem coś, co można by nazwać kodeksem współczesnego patrioty. Kiedyś patriotą był Polak-katolik. Dziś brzmi to nie tyle anachronicznie, co groźnie.

- I to jest większa groźba niż doraźne rządy tego lub innego polityka. Ten rodzaj myślenia zasadza się głęboko w naszej mentalności, dlatego łatwo na nim żerować, manipulować emocjami, których obecność nie zawsze sobie uświadamiamy.

Pan w swoich spektaklach od lat przygląda się polskiej religijności.

- Prawda jest taka, że zawsze uciekałem od tego, o czym teraz mówię. Dziś, wobec nadmiaru barbarzyństwa religijnego w Polsce, to już nie jest takie proste. Robienie teatru z Księgi Hioba czy z Księgi Eklezjasty wydaje mi się, wobec tego, co obserwujemy na co dzień, pięknoduchowskie. Teatr odwołujący się do Eliota nie jest w stanie temu wyzwaniu sprostać. Byłem teraz na wczasach w Grecji. Staliśmy na Akropolu i pan przewodnik wskazał nam górkę, która była areopagiem. Mędrzy greccy zaprosili tam św. Pawła, żeby im powiedział coś więcej na temat ciekawej nauki, którą głosi. Powyżej stoi monumentalny Akropol, który do dziś robi wstrząsające wrażenie. Paweł przemawiał więc w obliczu tego niezwykłego osiągnięcia cywilizacyjnego i duchowego. Powołał się na napis, który Grecy tam umieścili: "Nieznanemu Bogu". Mówił: "Bóg jest w każdym z nas, a nie w wielkiej świątyni. Nie budujcie kościołów sobie samym". Kiedy wrócimy z dalekiej wycieczki do Grecji, możemy postawić sobie pytanie o sens budowy Świątyni Opatrzności. Czy Pan Bóg był Polakiem, żebyśmy mu musieli stawiać gigantyczną budowlę? Obrażamy pana Boga, próbując założyć mu biało-czerwony szalik. To są dramatyczne dylematy, przed którymi staje polski Kościół.

A jednak reżyserując sztukę Jerzego Pilcha "Narty Ojca świętego", jedyny jak do tej pory tekst mierzący się z mitem papieża Polaka, podłubał pan przy polskiej religijności.

- Jerzy Pilch napisał ten tekst na trzy lata przed śmiercią papieża. I obaj próbowaliśmy nadać mu indywidualną perspektywę, nie rosząc sobie prawa do rozstrzygnięć uniwersalnych. Ale oczywiście fakt, że to jest jedyny taki tekst, sprawia, iż na nim spoczywa odpowiedzialność za całą Polskę. Kluczowym momentem tego spektaklu jest scena, kiedy po śmieszno-strasznej nocy ujawniania kompleksów, urazów, ambicji mąż z żoną po raz pierwszy od lat rozmawiają. To jest cud oczekiwania na Ojca Świętego, który rzekomo miał się pojawić w Granatowych Górach. Ta perspektywa jest mi szalenie bliska. Wielkie sprawy i słowa weryfikują się w małych rzeczach. Myślę, że wszystkie moje spektakle, niezależnie od tego, jak bardzo się od siebie różnią, są opowieścią nie o herosach, ale o zwykłych ludziach, którzy mają żonę lub męża, dzieci i którzy są zagubieni, którym towarzyszy lęk, niewiedza, przerażenie bałaganem świata i którzy mimo wszystko próbują wydobyć się z chaosu. Próbują kleić z ułomków może pokraczną, ale jednak jakąś całość. Robię to dla widzów, ale też dla siebie. Jeśli zapraszam kogoś do domu (a tak

traktuję spektakl), to nie zafunduję mu dwugodzinnej opowieści o tym, jak bardzo nie chce mi się żyć i jak wszystko jest bez sensu, bo następnym razem ten człowiek będzie omijał mój dom z daleka. Każdy spektakl jest próbą przedostania się na drugą stronę - stronę ładu. Mówiąc to, zdaję sobie sprawę, jak to jest niebezpieczne, jak łatwo zabrnąć w dydaktykę, w świat uproszczony. Tym bardziej że tworzenie czegoś, co jest jasne, jest dziś znacznie bardziej narażone na krytykę niż pokazywanie, że wszystko się rozwalilo.

Odwolania do Biblii w pańskich spektaklach są próbą przypomnienia o porządku, który istnieje niezmiennie od wielu tysięcy lat?

- W pewnym sensie tak, choć dla mnie w Biblii ważniejsza jest odświętna mowa, mroczna i skomplikowana. "Kładąc się pytam, kiedy wstanę i dłuży się wieczór i miotam się aż do świtu" - czytam w Księdze Hioba. W Biblii jest odpowiedź na wątpliwości, na niepewność, ale ta odpowiedź nie jest prosta. Jest zadaniem, tajemnicą. Ostatnie słowa Hioba brzmią: "Mówiłem raz, mówiłem dwa razy, ale już nie będę. Rękę kładę na ustach". Reszta jest milczeniem.

A co ze stadionem w Warszawie? Wiem, że dla pana to ważna sprawa. - Teraz mi dopiero twarz gęstnieje. Parę lat temu przystąpiliśmy do Unii Europejskiej. Już pora, żeby wydarzenie symboliczne przełożyć na konkrety i zbudować nowoczesny stadion, którego Warszawa w tej chwili nie ma. Jeszcze trzy miesiące temu byłem pewny, że to się uda. Dziś mam coraz więcej obaw. Gdyby do tego nie doszło, byłaby to największa afera i zdrada tego, w co wierzymy. I to, rzecz jasna, nie dotyczy tylko piłkarzy, sportu. Mówimy o miejscu Polski w Europie. Jeśli za rok nie ruszy budowa stadionu w Warszawie, to kupimy z synem kije do bejsbola i będziemy się zachowywać jak najagresywniejsi kibole.

Piotr Cieplak

(ur. 1960). Studiował teatrologię w PWST w Warszawie i reżyserię w PWST w Krakowie. Brał udział w warsztatach Petera Brooka. Najważniejszym przedstawieniem, kształtującym styl Cieplaka jako reżysera, była "Historia o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" Mikołaja z Wilkowiecka. Ten staropolski dramat inscenizował dwukrotnie: we Wrocławiu w Teatrze Współczesnym i w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Teatr Rozmaitości, którego był dyrektorem artystycznym, reklamował hasłem "najszybszy teatr w mieście". Sam jednak wybierał teksty o małym potencjale komercyjnym, np. "Historię o Miłosiernej" Ariano Suassuny. Po odejściu z Rozmaitości reżyserował w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu ("Historia Jakuba" wg Wyspiańskiego), Teatrze Studio w Warszawie ("Kubuś P." wg A. A. Milne'a) i w Powszechnym ("Król Lear" Szekspira). Ostatnio wystawił "Albośmy to jacy tacy" według "Wesela" Wyspiańskiego w warszawskim Teatrze Powszechnym. Jest laureatem Paszportu "Polityki".»

"Mnóstwo rzeczy mnie wkurza"
Katarzyna Janowska
Polityka nr 35/01.09
01-08-2007

e-teatr.pl - wortal teatru polskiego © Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego